

Trekking
na przełęcz
nieдалeko wioski Å

Wyprawa ku niezachodzącemu słońcu

Wyjazd na Lofoty wymarzyliśmy sobie dawno, zainspirowani zdjęciami znajomych amatorów długodystansowego rowerowania. Północ zawsze wydawała się nam fascynująca, bo pachniała nietypową egzotyką i niespotykanym nigdzie indziej pięknem. Morze i góry nigdy nie były tak blisko. Nasze marzenia o podróży za koło podbiegunowe łatwo dały się przekuć w rzeczywistość, która przeszła nasze oczekiwania.

Marta Sosnowska, Maciej Lisicki

Lipiec 2010. Warszawski Sztab Dowodzenia Lofotnikami. Wyprawa rusza za 24 godziny. Ostatnie zakupy sprzętowe zrobione, dwa wózki z marketu wypełnione po brzegi żwawo toczą się po parkingu. Tak zaczyna się pewnie wiele wspaniałych wypraw. Tu nie było inaczej.

Naszą czteroosobową specgrupę dzielimy na dwa zespoły – wspinaczkowy dre-

am team Doroty i Szychy (Pawła) oraz komando piesze Marty i Lisa (Maćka). Zapakowaliśmy się w kilometry konserw, pakujemy się do naszego samochodu i późną, letnią nocą ruszamy na północ. O tym, jak dużo mamy ze sobą jedzenia, może świadczyć znacząca różnica w komforcie jazdy w zależności od jej kierunku. Gdy na początku wyprawy jedziemy na północ, z tyłu samochodu panuje bardzo przytulna atmosfera – tylko prawa połowa kana-

py dostosowana jest do przewozu osób, podczas gdy lewa stanowi nad wyraz upakowaną powierzchnię magazynową. W drodze powrotnej jedynym nieożywionym pasażerem na tylnych siedzeniach będzie rulon karimat.

Jak co roku w Chałupach...

Do Gdyni docieramy nad ranem. Wjeżdżamy na prom płynący do Karlskrony i... pu-
dło! Wskutek wrogiej propagandy ►





Copacabana? Nie! Plaża w Ramberg – najsłynniejsza na Lofotach. Niestety, jest jednym z niewielu miejsc, na których rozbijać się nie wolno

i własnej konfuzji pospieszyliśmy się i przyjechaliśmy o dzień za wcześnie.

– Co nas nie zabije, to nas wzmocni – kwituje sprawę Lis.

I rzeczywiście, tego dnia korzystamy z gościny rodziców Marty, którzy wypoczywają w Chałupach. Prawdziwe wakacje! Plaża i gofry!

Następnego dnia wstajemy wcześniej i już o godzinie dziewiątej ukołysani przez fale podziwiamy nienasycony Półwysep Helski. Na ziemi szwedzkiej stajemy późnym popołudniem. Postanawiamy twarde przeć na północ, póki starczy nam sił. Starcza na 350 kilometrów, gdy o północy docieramy w okolice Nyköping. Tam na przydrożnym polu rozstawiamy namioty. Noc jest tak jasna, że latarki okazują się zbędne.

Następnego dnia jedziemy dalej narbrzeźną trasą E4 do Umeå, gdzie odbijamy na zachód w kierunku Storuman i, przekroczywszy granicę, dojeżdżamy w okolice norweskiej miejscowości Mo-i-Rana. Nieśmiało zaczyna padać deszcz. Komary są wielkie jak słonie i tną jak szalone.

– Czy to jest nasze Comfort-Spa-Prestige-Residence? – pyta Szych.

– Nie, to jest Villa Natura Platinum – wyjaśnia szybko Lis. – Ale chyba nie dopłaciliśmy za pogodę.

Pada przez całą noc i następnego dnia, gdy przekraczamy koło podbiegunowe, które „zwiedzamy” jesczce w sandałach i krótkich spodniach. Ruszamy szybko dalej, docierając po czterech godzinach do portu w Bodø. Naszym oczom ukazują się kolejka aut oczekujących na prom. W strugach zimnego deszczu wygląda wyjątkowo beznadziejnie. Sprawdzają się nasze pesymistyczne przypuszczenia – na kurs o 16 nie mamy szans się załapać. Na osłode wychodzi jednak słońce, które

umila czekanie na kolejny, przyplływający o północy. Cztery godziny później zjeżdżamy z trasy w Sørvågen w gminie Moskenes. A zatem udało się – dotarliśmy na Lofoty. Na liczniku mamy 2700 kilometrów.

Ujeżdżamy kawałek na południe i rozstawiamy namioty. Rano ze zdziwieniem stwierdzamy, że w obozowisku unosi się wyjątkowo intensywny zapach. Konstatujemy, że raczyliśmy się rozbić na placu przed muzeum sztoki (suszonego dorsza – złota Lofotów), oraz że dzieli nas zaledwie kilka metrów od setek, jeśli nie tysięcy, ususzonych w słońcu rybek składowanych na świeżym powietrzu. Nieświadomie znaleźliśmy się w miejscowości Å-i-Lofoten. Å to ostatnia litera norweskiego alfabetu, zaś miejscowość od niej się zaczynająca leży na samym końcu Lofotów.

Na kłopoty – bunkier

Jako że na Lofoty jechaliśmy bez żadnej mapy, rankiem następnego dnia postanawiamy wrócić do Sørvågen i znaleźć jakieś biuro turystyczne. Pierwszy rzut oka na zgromadzone w nim mapy wprawia nas w zakłopotanie. Szlaków jest tu dużo, ale nie są one ze sobą skomunikowane. Jest wiele wydeptanych ścieżek, połączonych jedynie kilometrami asfaltowej drogi krajowej. Zupełnie nie pasuje to do naszego sposobu pojmowania turystyki.

– Nie zakładajmy najgorszego. Tam musi się jakoś dać przejść – mówię do Marty.

A zatem postanowione – ruszamy na pierwszą, w zamierzeniu czterodniową wycieczkę. Noc planujemy spędzić w fiordzie Skotvika nieopodal Å, by dalej przedzierać się na północ. Do przejścia przed nami jakieś 8-10 kilometrów w poziomie – dobra trasa na rozgrzewkę. Wą-

ziutka ścieżka wije się po grząskich bagnach, których nie spodziewaliśmy się spotkać u podnóża gigantycznych granitowych grzbietów. W pewnym momencie szlak całkowicie znika między trawą i z wielkim trudem znajdujemy go na nowo w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Z przykrością odkrywamy, że między mapami a rzeczywistością istnieją znaczne rozbieżności, a szlaki zasadniczo nie są jednak oznaczone. Co prawda na niektórych ścieżkach można znaleźć usypane stopy kamieni, mających wskazywać drogę, ale okazuje się też, że wiele z nich zrobionych zostało przez zbyt pewnych siebie turystów w miejscu, które im wydawało się właściwe, często nawet parędziesiąt metrów od faktycznej ścieżki.

Przez prawie dwie godziny obchodzimy jezioro o krystalicznie czystej wodzie i po następnej godzinie udaje się nam przejść przez przełęcz. Dalej ścieżka schodzi ku morzu wzdłuż brzegu następnego stawu. Nagle, zupełnie niespodziewanie, zrywa się wichura, a niebo zasłaniają żle wrzące chmury. Z każdym krokiem mocujemy się więc z wiatrem, który usiłuje nas przewracać i wrzucić do jeziora. Robi się niezbyt ciekawie. Na szczęście w oddali, tuż nad wodospadem wpadającym do morza, dostrzegamy betonowy bunkier.

– Ten bunkier zbudowano tu właśnie dla nas. Zostajemy! – mówi Lis.

Zbliżamy się do małej betonowej kostki i dostrzegamy więcej szczegółów.

– Nie ma drzwi! – przekrzykuje wiatr Marta. – Czyli można spać bez rezerwacji!

Po prawie godzinie docieramy na miejsce. Należy mu się pięć gwiazdek! W środku znajdujemy kilka zbutwiałych desek, które posłużą za posłanie, oraz grube wełniane szmaty, którymi zatykamy wąskie okno. Drzwi zastawiamy ka-



Widok z fałszywego szczytu Stetinda (1304 m n.p.m.) na górę nazwaną przez nas Giewontem 2.0

mieniami i w tak przytulnym i osłoniętym lokum spożywamy schab w sosie z zielonego pieprzu. Zasypiamy, słuchając wycia wiatru.

Nad ranem aura się uspokaja w ciągu kilku minut. Urwisty brzeg i granitowe ściany po bokach przekonują nas jednak, że w tym jednym punkcie nasza mapa się nie myli. Przejść na północ się nie da. Zarządzamy więc odwrót, mając na uwadze nadchodzącą nową falę ołowianych chmur i wzmagający się wiatr. Gdy po dwóch godzinach i kąpieli w jeziorze schodzimy z przełęczy, wiatr staje się tylko wspomnieniem.

Norweska Wenecja

Jako że nasi kompani pojechali się wspinać w okolice malowniczej wioski Reine, postanawiamy złapać stopa i szybko do nich dołączyć. Wychodzimy na szosę i dosłownie parę minut później wsiadamy do opla prowadzonego przez sezonowo pracującego w Å-i-Lofoten Polaka – Tomka. Okazuje się, że przyjeżdża tu od paru lat i dobrze zna okolicę. Doradza, byśmy wybrali się na przełęcz Reinebringen (670 m n.p.m.), górującą nad Reine. Postanawiamy pójść za jego radą, lecz najpierw udajemy się na poszukiwanie Doroty i Szychy, którzy od kilku godzin tkwią w szponach lofockich granitów. Znajdujemy ich w środku nocy w połowie ściany, ale ponieważ słońce trzyma się wysoko, nic nie robią sobie z czasu. W tej sytuacji bierzemy się za rozbijanie namiotu i kładziemy się spać.

Następnego dnia pogodę mamy piękną, a widok z poleconej przez Tomka przełęczy po ponadgodzinnym drapaniu się w górę jest oszałamiający. Podobno stąd właśnie pochodzi większość zdjęć na pocztówki z Lofotów.

Podróżujemy dalej wszyscy razem na wschód, zatrzymując się w miejscowości Ramberg na plaży o iście hawajskim wyglądzie, by finalnie dotrzeć do Uttakleiv, gdzie zamierzamy przeczekać deszcz, który właśnie zaczął padać. Potem czeka nas jeszcze podróż do położonego 50 kilometrów dalej Henningsvær.

Krótki pobyt zmienia się w trzydniowe koczowanie w strugach deszczu. Gotujemy w przebiegalni przy plaży i oprócz kilku ludzi w kamperach i owiec, które bezlitośnie becą nocami, nie widzimy nic. W przerwie między jedną a drugą ulewą udaje się nam zaparkować do samochodu.

– Niezależnie od pogody, trzeba jechać dalej, bo oszalejemy – stwierdza Dorota.

Mamy już szczerze dosyć. Ale, niestety, tak to już jest na tych wyspach – aura zmienia się gwałtownie i niespodziewanie. Nie dziwi nas więc fakt, że gdy docieramy

na miejsce, niebo rozświetlają pierwsze promienie słońca.

Henningsvær leży na wysepce, na którą prowadzą dwa imponujące mosty, i z tego powodu bywa zwane Wenecją Północy. Przed mostami po obu stronach drogi znajduje się popularne dzikie pole namiotowe. To obozowisko doskonałe i niezwykle bezpieczne. Pole położone jest u stóp ściany zwanej Gandalfem i oferuje piękny widok na góry i morze. Dodatkowo, dzięki przechodzącej nieopodal rurze doprowadzającej pitną wodę do miasta, zaopatrzone jest w mały kranik specjalnie dla obozujących.

Henningsvær nazywane bywa wspinaczkową mekką. A wszystko ze względu na bliskość najważniejszych ścian – w starszych przewodnikach wspinaczkowych odległość do nich podawano właśnie względem tego miasteczka. Postanawiamy zostać tu na dłużej. ▶



FOT. ZK MAGEI USICKI

Przez wieki bogactwem Lofotów był sztokfisz, czyli suszone na słońcu dorsze, których zapach gdzieś tam dał nam się we znaki



Panorama wioski Reine na wyspie Moskenesøya

W krainie wielkich jezior lofockich

Dwa tygodnie na wyspie obfitują w liczne górskie wycieczki, rozpoczynające się w promieniu 10 kilometrów od naszej bazy w Henningsvær. Słońce jest wciąż na niebie przez 95 procent doby, więc pora wyruszenia z bazy i powrotu nie gra roli. Najbardziej podoba się nam wędrówka na położony w głębi wyspy Småtindan (662 m n.p.m.). Wyjeżdżamy samochodem rano, tuż po śniadaniu, skręcając w kierunku jeziora Storkongsvatnet przed Kabelvåg. Tu szybko zmieniamy środek transportu na buty i maszerujemy ku jezioru. Znad brzegu można odbić na zachód i, robiąc dużą pętlę, dotrzeć do jeziora na przełęczy pod Småtindanem (ok. 550 m n.p.m.). Całość zajmuje około trzech godzin, a teren, po którym się przemieszczamy, bywa bagnisty. Nad brzegiem jeziora leży jeszcze spora warstwa śniegu. Stamtąd rozpoczyna się trawers po skałach ku najwyższemu z trójga niżej położonych jezior. Strome zbocze jest zupełnie pozbawione ścieżki i tylko kilka kupek kamieni wskazuje nam drogę. Przekraczamy w poprzek kilka wozów, których dnem płyną strumyczki. Poruszamy się po niby-ścieżkach i skaczemy po kamieniach, zbliżając się do celu. Po godzinie trawersu nad brzegiem największego z jezior dostrzegamy małą chatkę. Cudowną! Została zbudowana przez

miejscowych i służy bezpłatnym noclegiem dla turystów. Ma polowe łóżka, piec, stół, kuchenkę, garnki i zapas jedzenia. Wdzięczność można wyrazić, wypełniając dostępne tam blankiety darowizny i wpłacając pieniądze w banku. W tamtejszej księdze gości znajdujemy kilka polskich wpisów – wszyscy narzekają, że w naszych warunkach to nierealne, a idea taka piękna! Robimy sobie krótką przerwę na posiłek (ktoś zostawił słoik pełen nutelli!), zostawiamy w zamian polskie batony i ruszamy z powrotem w dół stromym zboczem wzdłuż metalowej rury, transportującej wodę do położonej niżej zabytkowej elektrowni wodnej. Wzdłuż rury, która opada dość stromo po śliskich kamieniach, w kluczowych miejscach ktoś porozwieszał sznury, umożliwiające zejście. Na polu biwakowym meldujemy się około godziny 18, zakupiwszy wcześniej ciasto z okazji urodzin Lisa. Okazuje się, że Dorota i Szych w ramach prezentu nazbierali całą menażkę jagód, które w połączeniu z ultradrogą śmietaną stanowią cesarską ucztę.

Na następny dzień zaplanowaliśmy wędrówkę na najwyższy szczyt wyspy – Vågakallen (943 m n.p.m.) – osiągalny bez samochodu z pola namiotowego pod Gandalfem. Ruszamy z samego rana. Szlak wiedzie wzdłuż Djupsfjordu ścieżką wydeptaną przez pielgrzymki wspinaczy i prowadzi do doliny na południe od mo-

reny oddzielającej fiord od jeziora. Brzegi wznoszą się łagodnie aż do moreny, która oddziela morze od jeziora, położonego w górnej części doliny. Mijamy mały świerkowy las i znikają wszelkie ślady cywilizacji. Potem ścieżka idzie ostro w górę na przełęcz. Niestety, gdy po godzinie marszu chmury skrywają wszystko wyższe niż 600 metrów, zmuszeni jesteśmy do odwrotu w deszczu.

– No cóż, nie mamy wyboru. W przyszłości będziemy musieli wrócić na Lofoty, żeby zdobyć ten szczyt – zapowiada Marta.

Spotykamy jeszcze dwoje Australczyków, którzy zdążyli zdobyć szczyt przed zachmurzeniem i opisali ścieżkę jako stromą i eksponowaną. Schodzimy do bazy wcześniej i przed obiadem skacemy jeszcze do Heni po kannelbulle, czyli skandynawską słodką bułkę z cynamonem.

Narodowa góra Norwegów

Po zaliczeniu paru mniejszych tras w okolicy Svolveer nasz czas na Lofotach dobiega końca. Zgodnie z założonym planem chcemy jeszcze się zmierzyć z jednym godnym przeciwnikiem, który od dłuższego czasu majaczy na horyzoncie swoją wyjątkową, potężną sylwetką. To Stetind – narodowa góra Norwegów. Granitowy monolit, spoglądający z wysokości 1319 metrów nad Indre Tysfjordem. Szczyt o charakterystycznym, ściętym

INFORMACJE PRAKTYCZNE

W wyprawie udział wzięli: Dorota Dulińska, Marta Sosnowska, Paweł Szostek i Maciej Lisicki.

DOJAZD

Na Lofoty dojechaliśmy samochodem. Trasa z Warszawy do Sørvågen na Lofotach ma ok. 2700 km. Przepełniliśmy promem z Gdyni do Karlskrony (1000 zł), dalej przez Szwecję wzdłuż Bałtyku, granicę Norwegii przekroczyliśmy w pobliżu Mo-i-Rana, dalej do Bodø i promem do Moskenes (500 zł). Uwaga: w Szwecji ograniczenie prędkości na autostradzie to 110 km/h, a w Norwegii 90 km/h. Ceny mandatów są księżycowe, więc lepiej nie próbować pędzić. Można też dostać się tu samolotem (z trzema przesiadkami) – jest to szybka, choć droga opcja (około 2000 zł). Jeśli jednak trafi się na promocję, można kupić bilet nawet za 1400 zł w obie strony. Amatorzy podróżowania promem mogą dostać się

na Lofoty z Trondheim, np. z pomocą linii Hurtigruten (podróż trwa trzy dni i nie należy do tanich – od 90 euro).

BEZPIECZEŃSTWO

Norwegia to niezwykle bezpieczny kraj. Parokrotnie zostawiliśmy na Lofotach otwarty samochód, nie mówiąc o rozstawionym namiocie, i nigdy nic nam nie zginęło. Norwegowie są bardzo pomocni i chętnie udzielają wskazówek, co warto w okolicy zobaczyć. Wszyscy władają angielskim.

WYŻYWIENIE

Dobrze wziąć jedzenie z Polski. Ceny w sklepach są bardzo wysokie, w restauracjach i barach niebotyczne – hamburgery po 40 zł nikogo tu nie dziwią. Jedynymi tanimi produktami są sałatki z ziemniaków i majonezu (ok. 5 zł za 500 g) i soki pomarańczowe po 6 zł za litr. Większość sklepów

na Lofotach należy do sieci COOP i oferuje tańsze produkty marki X-tra. Z kuchni regionalnej polecamy wieloryba w Nord-Norge Klattrigskole w Henningsvær. Lofoty słyną też z suszonego dorsza (sztokfisa), a cała Norwegia – z brązowego sera Gudbrandsdalost o słodkawym smaku, wyprodukowanego z mieszanki krowiej serwatki i mleka koziego. Walutą norweską jest korona (NOK). 1 NOK = 51 groszy

NOCLEGI

Norweskie „prawo do natury” gwarantuje, że namioty można rozbić praktycznie wszędzie, łącznie z licznymi przydrożnymi parkingami, na których ciepła woda i toaleta nie są rzadkością – wciąż jednak jest to nocleg „na dziko”, więc darmowy. Co prawda, na części parkingów można dostrzec



FOT. MACIEJ USICKI

kształcie skutecznie broni się przed turystami – ostatnie 100 metrów trzeba pokonać, wspinając się w niełatwym terenie. Wejście na tzw. fałszywy szczyt, położony na wysokości 1304 m n.p.m., zajmuje około czterech godzin.

Zaczynamy o ósmej rano. Prognozy mówią, że padać ma po południu, więc chcemy wykorzystać ostatni dzień w Norwegii. Atak na szczyt rozpoczynamy tradycyjnym brodzeniem w bagnie, nawet większym niż zwykle. Zdradliwe laski karłowatych brzoźek są nasiąknięte jak gąbki. Jakimś cudem zachowujemy suche skarpetki aż do górnej granicy lasu. Tu ścieżka rysuje się wyraźnie – idzie przez zbocza porośnięte trawą ku morenie, z której spływa wodospad. Wchodzimy na morenę po kilkunastu minutach i stajemy nad brzegiem jeziora (725 m n.p.m.) obok czerwonego namiotu, w którym koczują jacyś amatorzy Stetinda. Znad brzegu mamy widok na przełęcz pomiędzy masywem Stetinda a Prestindem – tamteży wiedzie łatwiejsza droga podejścia. Trudniejsza prowadzi stromym zboczem i pozwala „ściąć” przełęcz. Wybieramy wariant przez przełęczkę, obawiając się zbyt trudnego podejścia. Przed nami – morze kamieni. Skaczymy po wielkich blokach skalnych i po prawie godzinie zmęczeniu osiągamy przełęcz. Rzut oka w głąb łądu ukazuje nam odległe lodowce i fantastycznie wyrzeźbione granitowe

szczyty. Tymczasem na szlaku dostrzegamy więcej osób – w pełni lata jest on bardzo popularny. Dalsze podejście jest proste – ścieżka jest wydeptana, a zbocze niezbyt strome i usiane drobnymi kamyczkami. Dlatego idziemy, zachwycając się norweskimi górami. Kątem oka dostrzegamy niewinnie gromadzące się w oddali chmurki. Nasze zadowolenie rośnie w miarę osiągania szczytu. W połowie drogi spotykamy Dorotę i Szychę, którzy wybrali trudniejszy wariant, i dalej gawędząc, spacerujemy ostatnie 100 metrów

kiem do samochodu i posilamy się, czekając na Dorotę i Szychę. Nasz wspinaczkowy team wraca po dwóch godzinach. Czas zapakować samochód i ruszać w długą drogę powrotną. Wszyscy odczuwamy, jak dużo miejsca zajmowało jedzenie i cieszymy się nowym wymiarem komfortu.

Do Polski wracamy trasą przez Narvik i Kirunę, wzdłuż słynnej z czasów wojny linii kolejowej Ofotbanen, która służy do przewozu rudy żelaza z największej na świecie kopalni odkrywkowej Kiruna-

Atak na szczyt rozpoczynamy tradycyjnym brodzeniem w bagnie, nawet większym niż zwykle. Zdradliwe laski karłowatych brzoźek są nasiąknięte jak gąbki

w górę. Na fałszywym szczycie stoi kociopek z kamieni. Za nim znajdujemy niszę, która służy nam za jadalnię. Jest słonecznie, ale bardzo wietrznie. Wciągamy na siebie wszystkie kurtki i pozujemy do setek zdjęć.

Chmury są coraz bliżej, więc trzeba szykować się do zejścia. Zaczynamy schodzić i już na wysokości jeziora z morza chmur wyłaniają się tylko pojedyncze szczyty. Im niżej, tym gęstsza jest chmura, a chwilę później jesteśmy już pod nią. Schodzimy szybkim kro-

kiem do samochodu i posilamy się, czekając na Dorotę i Szychę. Nasz wspinaczkowy team wraca po dwóch godzinach. Czas zapakować samochód i ruszać w długą drogę powrotną. Wszyscy odczuwamy, jak dużo miejsca zajmowało jedzenie i cieszymy się nowym wymiarem komfortu.

vaara (która jest rzeczywiście przeogromna). Droga przez tę część Szwecji jest, cytując przewodnik, „monotonna i niezbyt ekscytująca”.
Lofoty są wspaniałe – na pozór to zwykłe góry, ale tamtejsze widoki zapierają dech w piersiach, również stałym bywalcem Alp i Tatr. Pionowe granitowe ściany o ostrych zębach wyrastają tu z samego morza, a widok słońca w środku nocy dodaje uroku tym słonecznym wakacjom. Zgodnie postanawiamy, że jeszcze tam wrócimy! ■

tabliczki z napisem „no camping”, ale są one całkowicie ignorowane, także przez Norwegów. W wersji wysokobudżetowej można się zatrzymać w jednej ze słynnych rybackich chatek rorbu za 700 NOK za dobę (2-osobowy pokój), przy czym wyjeżdżając, kabinę zostawić trzeba w idealnej czystości bądź zapłacić kolejne 400 NOK.

MAPY I PRZEWODNIKI

Polskie przewodniki po Lofotach nie istnieją. Można nabyć brytyjskie, ale są bardzo drogie (150 zł). Korzystaliśmy z informacji wyczytanych w internecie i przewodnika wspinaczkowego „Lofoten Rock” autorstwa Chrisa Craggsa i Thorbjorna Enevolda. Mapy da się kupić na miejscu w informacji turystycznej. Mapa turystyczna 1:10 000 kosztuje ok. 60 zł, mapa 1:50 000 ok. 50 zł. Na mapach nie ma jednak wielu szlaków i ścieżek, bowiem często

są nieoznaczone – warto dowiadywać się o nie od turystów i we wspomnianych biurach.

POGODA

Zmienia się gwałtownie. Miejscowości odległe o 2 km mogą mieć zupełnie różną aurę. W lipcu temperatury oscylują w granicach 13-17 stopni, jednak można też trafić na bezchmurne dni i 19-stopniowy upał. Dwukrotnie przeżyliśmy trzydniowy deszcz. Najniższa zanotowana przez nas temperatura to ok. 7 stopni. Praktycznie przez cały czas wieje dość silny wiatr, który zaniża odczuwaną temperaturę. Prognoza na następny dzień zazwyczaj wywieszana jest w każdym biurze informacji turystycznej.

KOSZT WYPRAWY

Koszt wyprawy (bez sprzętu) wyniósł 1500 zł na osobę. Najwięcej wydaliśmy na paliwo i bilety

promowe. Minimalny czas wyprawy to trzy tygodnie, z czego ok. 5 dni zajmuje przejazd w obie strony (z noclegami „na dziko” pod drodze).

PATRONI MEDIALNI WYPRAWY:

magazyn Extremium oraz portale internetowe: travelbit.pl, 4outdoor.pl, geozeta.pl oraz e-gory.pl. Wyprawę wsparli również Ania Krześniak i Janek Dudziec.

SPONSORZY WYPRAWY:

